

Tam, gdzie Polak jest panem



Ziemowit Szczerek,
Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian, Korporacja Ha!art, Kraków 2013

Debiutancka książka Ziemowita Szczerka *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia*

Słowian to pozycja nietypowa na polskim rynku wydawniczym. Z pewnością nie jest to kolejny zbiór reportaży o Ukrainie czy, szerzej, o tajemniczym i niezbadanym wschodzie Europy, które zdominowały tematykę współczesnej prozy tego gatunku. Szczerek idzie dużo dalej, zapuszcza się na tereny rzadko uczęszczane przez polskich pisarzy i publicystów. *Przyjdzie Mordor i nas zje* to wyprawa w głąb naszego narodowego kolonializmu i megalomanii, w trakcie której boleśnie obnażone zostają mity, którymi Polacy leczą kompleksy wobec Zachodu. Ponadto jest to także dowód na to, jak niezbędne do życia jest wymyślanie nowych opowieści. Dekonstrukcja zabarwionych nacjonalistycznie stereotypów na temat Ukrainy, a raczej tej „mitycznej krainy hiperpolskości”, która przypadkiem została Polsce odebrana, jest z pewnością istotnym elementem prozy Szczerka, jednak najciekawszy jest sposób, w jaki ten zabieg został przeprowadzony.

Bohaterem wszystkich czternastu historii (o ich przynależność gatunkową można by się długo spierać) jest Łukasz Ponczyński, młody dziennikarz, który zarabia na życie pisaniem reportaży podróżniczych z Europy Wschodniej. Jego

problem polega jednak na tym, że nikt nie chce kupować zwyczajnych historii – ludzie nie lubią czytać o tym, że wschodnia rzeczywistość niczym nie różni się od ich własnego podwórka, i dlatego Ponczyński zmuszony jest ubarwiać swoje opowieści. Jego historie to ciągła destylacja „ruskiego *hardcore'u*”, produkowanie egzotyki, która będzie odpowiadać czytelniczemu gustom. Ponczyński nie jest jednak cynikiem zaspokajającym jedynie potrzeby swoich odbiorców. Gdyby tak było, nie miałyby potrzeby nigdzie wyjeżdżać, wszystko mógłby wymyślić, nie wstając z redakcyjnego biurka.

Akcja książki *Przyjdzie Mordor i nas zje* rozpoczyna się już na granicy polsko-ukraińskiej. To moment bardzo ważny, inicjacyjny, jednocześnie określający perspektywę całej książki: „– Narkotyków nie masz? – spytał polszczyzną dziwnie pozbawioną akcentu i ten brak akcentu nie pasował do jego niezgrabnego munduru, do tej jego czapki o średnicy koła od roweru, do której przypięty tryzub też zresztą nie pasował, bo tryzub to pasuje do czapki austriackiego wzoru, a nie do tej radzieckiej stolnicy”. Brak akcentu u celnika jest niepokojący, podobnie jak niepasujące do siebie elementy munduru. Już w pierwszej scenie Ukraina pokazana jest jako miejsca niedopasowane, nieprzystające do gotowych i spójnych narracji, które Ponczyński przywozi ze sobą, a im dalej jedzie, tym bardziej się o tym przekonuje. Nie przeszkadza to innym Polakom, których dziennikarz spotyka w różnych zakątkach Ukrainy – to „plecakowcy”, którzy niestrudzenie

przemierzają drogi i bezdroża tego kraju. Ich spojrzenie jest już z góry określone przez setki zasłyszanych historii, obejrzanych zdjęć i filmów, dlatego też nie mają żadnego problemu z percepcją – wszystkie elementy, które nie pasują, są bez żalu odrzucane. Jak słusznie zauważa narrator, Ukraina to jedyny kraj w Europie, wobec którego Polacy mogą sobie pozwolić na protekcyjność: jadąc tam, choć raz w życiu mogą poczuć się lepsi. Mit Ukrainy, na który nakładają się liczne zaszczości historyczne i kulturowe, determinuje ich postrzeganie tego miejsca. Ukraina w tym kontekście jest jednocześnie „kolebką polskości” i dzikim, poradzieckim Wschodem, miejscem swojskim, ale też egzotycznym. Mechanizm jest dość prosty. Znajdujemy tu typowe strategie kolonialne, opisane świetnie przez wielu teoretyków, począwszy od Edwarda Saida, a na Janie Sowie skończywszy. Ciekawe jest co innego – w pewnym momencie Ponczyński stwierdza, że „Ukraina to Polska, tyle że bardziej”. *Przyjdzie Mordor i nas zje* proponuje ciekawą perspektywę – ci, którzy jeżdżą na Wschód w poszukiwaniu „ruskiego *hardcore'u*”, nie dopuszczają do siebie faktu, że to także część ich rodzimego krajobrazu. Różnice są na tyle niewielkie, że można się w tym wszystkim pogubić, stąd też niezbędne jest nieustanne zgłębianie ukraińskiej rzeczywistości, której elementem są bez wątpienia nieprzerwane pielgrzymki „plecakowców”. Nie chodzi tu jedynie o kpinę z tych bitników XXI wieku, ale raczej o zjawisko szersze, związane z kreowaniem narracji tożsamościowych.

Ponczyński celowo zmyśla historie, podkreca je, zagęszcza klisze i stereotypy narodowe. Sam o sobie mówi, że pisze gonzo, będące specyficzną odmianą stylu reporterskiego, który zrywa całkowicie z obiektywizmem na rzecz fabularyzmu oraz barwnego i potocznego języka. Nie jest to bynajmniej niewinna zabawa, lecz celowa strategia, której celem jest dekonstrukcja kolonialnego modelu kultury. „Przezięte” opowieści spod znaku gonzo nadają się do tego idealnie, gdyż nie dążą do obalenia zastanego porządku (w tym przypadku pewnego sposobu myślenia), ale poprzez swoją karykaturalność osłabiają go. Już w pierwszej scenie zostaje podkreślona nieprzystawalność rzeczywistości do narracji mających ją uporządkować. Ponczyński (a właściwie Szczerek) staje przed koniecznością wymyślenia innego języka opisu i to się udaje: proza ta pozwala spojrzeć z odmiennej perspektywy zarówno na Ukrainę, jak i na literaturę podróżniczą w ogóle.

Michał Sowiński

